1923 r. GRUDZIEŃ № 23.

PRZEGLĄD MYŚLIWSKI I ŁOWIECTWO POLSKIE

ZJEDNOCZONY DWUTYGODNIK ŁOWIECKI



Sprawa udziału strzelców polskich w VIII Olimpjadzie.

W roku przyszłym odbędzie się Olimpjada igrzysk sportowych w Paryżu. Jak wiadomo Polska urzędowo bierze udział w Olimpjadzie, a Komitet Igrzysk organizację zawodów strzeleckich powierzył „Polskiemu Związkowi Myśliwych". Wobec zaszczytnego tego zadania przedewszystkiem postawić nam należy pytanie, czy polskie myśliwstwo powinno, czy może a wreszcie czy pragnie brać udział w tym wszechświatowym konkursie sportowym?

Że powinno, w kraju, gdzie kult myślistwa jest tak wysoko rozwinięty nie podlega wątpliwości. Nie tylko wszystkie wysoko kulturalne, ale nawet małe państewka Ameryki będą tam reprezentowane. Czy zechce i może — to pragniemy zbadać a to jest na razie celem nininiejszej odezwy.

Strzelanie myśliwskie w Olimpjadzie odbędzie się w dniach 21 — 29 czerwca i to w dwuch rodzajach: 1) do jelenia w biegu (dystans 100 m., kaliber dowolny), strzał pojedyńczy i dubeltowy; 2) do rzutków glinianych (dystans 15 metrów, kaliber do dwunastki, waga śrótu do 36 gramów). Każde państwo wysyła 4 uczestników i dwuch zastępców.

Ażeby zbadać czy mamy dostatecznych kandydatów i z pośród tych módz następnie wybrać odpowiedni materjał, **wzywamy wszystkich myśliwych i strzelców, pragnących w Olimpjadzie brać udział do bezwłocznego zgłoszenia się do podpisanego Zarządu, z podaniem czy i z jakim skutkiem brali już udział w myśliwskich strzelaniach konkursowych.**

Dla pokrycia kosztów strzelania kwalifikacyjnego, jako i subwencji dla strzelców odpowiednich, a nie posiadających materjalnych środków kosztowna podróż do Paryża, jest z pewnością najważniejszą sprawa finansowa, od której rozwiązania zależeć będzie wogóle możliwość udziału.

Komitet igrzysk za pomocą związków i towarzystw pobierających składki ze sfer w środki materjalne mniej zasobnych, zorganizował ze wszystkich sportowców odpowiedni udział i znalazł ich ogólne poparcie. Wiadomo też, iż największa zamożność panuje w kołach uprawiających myśliwstwo. To też jego nieobecność byłaby zupełnie nieuzasadnioną i tłumaczoną by być mogła jedynie niemożliwością konkurencji Polski na tym międzynarodowym polu popisów.

Wzywamy przeto wszystkie Towarzystwa w Związku naszym połączone, jako i po zatem wszystkich miłośników sportu myśliwskiego do rozpowszechniania niniejszej odezwy, do zgłoszenia kwalifikujących się na Olimpjadę strzelców polskich i wreszcie do nadesłania ewent. do oświadczenia gotowości nadesłania do 1 lutego 1924 r. odpowiedniej sumy na pokrycie kosztów przygotowań i udziału w paryskiej Olimpjadzie.

Od zainteresowania się jakie wzbudzi ta odezwa, od nadesłanych zgłoszeń uczestników i kwot zebranych zależeć będą dalsze nasze postanowienia.

Składki, które ogłaszać będziemy w organie naszym „Przeglądzie Myśl. i Łowiectwie Polskiem" upraszamy nadsyłać na czek pocztowy: Polski Związek Myśliwych, Poznań Nr. 200.168 lub składać w administracji „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego", Warszawa, Szpitalna 12, z dokładnym zaznaczeniem: „Na Strzelecki fundusz Olimpijski".

Główny Zarząd Polskiego Związku Myśliwych.

Wł. Janta Połczyński.
Wielki Łowczy.
Członek Komitetu Igrzysk Olimpijskich.

Poznań 12/IX, 1923 r.
Wały Leszczyńskiego 48.

RAJ MYŚLIWSKI.

NA JEZIORZE HANKA.

(*Dokończenie*).

Z wielką niecierpliwością oczekiwałem wieczoru. Nawet jeść nie mogłem. Przejrzałem swoje pasy z ładunkami, których było 64, wziąłem jeszcze ze dwadzieścia i rozłożyłem je po kieszeniach swojej futrzanej kurty myśliwskiej, która widziała już tyle znakomitych polowań w lasach, górach i na jeziorach i morzach Europejskiej Rosji i Azji. Wyczyściłem strzelbę, wysmarowałem olejem rycynowym swoje długie aż do pasa prawie buty myśliwskie; przywiązałem psa do wbitego kołka, gdyż wieczorem przy przelocie ptaków nie był mi potrzebny, a mógł tylko mi przeszkadzać i siedząc w miękkiem sianie, spoglądałem zazdrośnie na lecące w różnych kierunkach kaczki, gęsi i łabędzie. Ciągle się obawiałem, że wszystkie ptactwo przeciągnie do wieczora nad błotami Hanki, a dla nas pozostaną tylko małe śpiewające ptaszki, całe bandy których latały w trzcinach, śpiewały, kłóciły się a nawet biły.

Nareszcie doczekałem się upragnionej chwili. Siedziałem już w swojej zasadzce tuż nad brzegiem jeziora, zaczajony za trzcinami.

Słońce powolnie, jak gdyby drwiąc z mojej niecierpliwości, opuszczało się na zachód, zakreślając na niebie olbrzymi łuk. Już pierwsze fale zmroku, jeszcze przejrzystego, przepojonego światłem, spłynęły na ziemię. W gąszczu trzcin i sitowia zarysowały się szafirowe i fioletowe cienie, w których szukało schroniska nocnego drobne ptactwo, świergocąc sennemi już głosami. Na zachodzie płonąć zaczęły roztopionem złotem i szkarłatem drogocennym małe obłoczki, nieruchomo wiszące na seledynowem niebie. Jakiś cień, jakgdyby przezroczysta krepa, przykrył wierzchołki suchych trzcin i brunatne, aksamitne ich kity, uczynił bardziej miękkiemi i niewyraźnemi wszystkie kontury i kształty, przyćmił złote tafle jezior i wstęgi potoków. Tajemnicza cisza napływała zewsząd i zdawało się, przytłoczyła do zasłuchanej brunatnej zeschłej trawy wszystkie dźwięki, odgłosy i gwary. Dawno już umilkli, weseli mieszkańcy trzcin i szuwarów—ptaszki śpiewające i wygwizdawszy ostatnią modlitwę dziękczynną czy pożegnanie gasnącemu słońcu, usnęły; ucichł rechot, gdzieniegdzie budzących się żab; zataił się wietrzyk, kołyszący suche badyle i trawy, zwarzone zimowemi mrozami; nie pluskały się kaczki na jeziorkach i tylko od czasu do czasu przerywały ciszę dźwięczne cykania bez szmeru tnących powietrze nietoperzy.

Słońce wyglądało z poza horyzontu tylko promienną koroną swoich ognistych włosów, lecz samo już utonęło gdzieś na zachodzie za fioletowo szafirowym grzbietem leśnego Sichota-Alina. Jeszcze na niebie paliły się smugi zielonych, złotych i szkarłatnych blasków, płonęły jakby krwią nabrzmiałe i w ogniu roztopione wędrowne lotne obłoczki, ale na ziemi, w szuwarach, nad wodą już zmrok się gnieździł, a z niego podnosić się zaczynały mgliste opary i pełzły, ścieląc się po nieruchomych, sennych wierzchołkach wybujałego sitowia i gęstych wiklin, powykręcanych, jak sploty bijących się węży.

Cisza stała się jeszcze głębszą i potężniejszą.

Raziło brzęczenie komarów i szmer pełznącego po łodydze trzciny żuka—rogacza.

Znikły ostatnie gońce zachodzącego słońca, a cisza wszechładnie objęła ziemię.

Nagle, zdaleka dopłynęła na falach ciszy i padającego zmroku krótka basowa, a donośna zwrotka. Znowu cisza, a potem nowa zwrotka już bliżej, głośniej, i jakieś odgłosy, szmer i echa ruchu w powietrzu.

Niewysoko nad trzęsawiskiem wyciągnąwszy się w trójkąt, jak ostrze strzały, leciało stado gęsi. Wprawne oko naliczyło trzydzieści dwa ptaki. Lecący na przedzie dowódca od czasu do czasu spokojnie a donośnie „trąbił“ swym basowym o trzech tonach głosem, jak gdyby uspokajając lub namawiając do czegoś.

Zagrzmiał pierwszy strzał. Padł jak piorun i zmącił, zmieszał, zakotłował ciszę. Zaszumiały szuwary zgorszone, na błotach i jeziorach trwożnie krzyknęły i zerwały się hałaśliwe kaczki, gwizdnęło gdzieś blizko mknące w przerażeniu stadko kulików, zajęczała szara krzykliwa mewa jeziorna, a z góry, bezładnie bijąc w powietrzu jednem skrzydłem, szybko spadała duża dzika gęś. Stado, ponuro i trwożnie pokrzykując, pionowo wzbijało się wyżej, prostując swój szyk i, wyciągając się w ruchomy falujący sznur, jak lecąca jesienna pajęczyna, jęło szybko oddalać się od zdradzieckiego jeziora.

Polowanie się rozpoczęło..

Prof. dr. *Antoni Ossendowski.*

Polowanie na ptactwo w Azji Środkowej.

Osobiście nie zawsze lubiłem polować z łowczemi ptakami, bo tego rodzaju łowy nie odpowiadały memu temperamentowi. Wyjątek stanowiły przepiórki i czasami bażanty, w zależności od terenu na którym się polowało.

Przepiórek była moc. Jesienią, gdy są one bardzo tłuste, wystarczało wyjść do własnego ogrodu, w lucernę, żeby tam spotkać dziesiątki przepiórek, które nic sobie nie robiąc z ludzi wyrywały się tuż z pod nóg. Krzeczot załatwiał się z niemi w okamgnieniu; po godzinie 15—20 przepiórek odsyłałem do kuchni, jako wspaniały dodatek do piławu (ryż specjalnie duszony z rodzynkami, pigwą, baraniną, czerwonym pieprzem).

Przepiórki jednak nie zastąpią w piławie wybornych „kaklików“ (górskie kury) lecz są one tuż koło domu, zaś po „kakliki“ jechać trzeba daleko w góry, o 200 — 300 kilometrów, co w upalną turkiestańską jesień jest niemożebne, gdyż w drodze uległyby zepsuciu.

Z opowiadania mego możnaby wywnioskować, że przepiórki tak mało dbają o swoje życie lub tak lubią być zjedzonemi w piławie, że umyślnie trzymają się w pobliżu domów, aby tem łatwiej upolować je mógł myśliwy.

Oczywiście tak nie jest. Lecz ptactwo w Turkiestanie żyjąc wśród gęsto zamieszkałej, a bezbronnej ludności, traci lęk przed człowiekiem, nie widzi w nim groźnego dla siebie wroga i dlatego przebywa w najbliższym sąsiedztwie jego domostw bez żadnej obawy.

Nieraz w noc zimową, wracając do domu przez miejski park w Margielanie (gubernjalne miasto Fergany) przestraszony byłem przez kaczki, które najspokojniej żerując w arykach,*) prawie z pod

*) Medicago, rodzaj koniczyny, którą w Turkiestanie karmią konie, bo łąk i trawy tam niema.

*) W Turkiestanie niema studzien ani wodociągów. Mieszkańcy wodę otrzymują z tak zwanych aryków t. j. sztucznych kanałów, przeprowadzonych od rzeczek. Kanały te wchodząc do miasta rozbijały się na dziesiątki mniejszych, te z kolei na jeszcze mniejsze i przechodziły literalnie przez podwórze każdego dworku. Z aryków bierze się wodę do kuchni, do picia, do pojenia zwierząt. Kucharki myją w nich kuchenne garnki, praczki piorą bieliznę, łatwo sobie wyobrazić ile mikrobów mieści się w takich „arykach“, będących źródłem chorób zakaźnych, szczególniej wśród tubylców, którzy nie mają pojęcia o hygjenie.

nóg mych zrywały się z kwakaniem i łopotem.

W ciągu kilku lat mieszkałem w starym Margielanie w pałacu (urda) sułtana Murad-Beka, rodzonego brata Hudajar-Chana. Urda stała w centrum ruchliwego miasta liczącego około 100 000 ludności, otoczona ogromnym ogrodem. Otóż przez ten czas nie wyjeżdżałem ani razu na polowanie na słonki, ponieważ ciągnęły one najspokojniej nad miastem i moim ogrodem. Wystarczało przed zmrokiem wziąć strzelbę i wyjść do ogrodu, a na kolację miało się kilka słonek duszonych w słoninie.

Najmilszem dla mnie było polowanie na ślicznie opierzone środkowo-azjatyckie bażanty (Phasianus Mandus). Przy chanach cała Fergana stanowiła jedną wielką bażantarnię. Polowanie na bażanty było przywilejem samych tylko chanów będąc najsurowiej zakazane wszelkim innym stanom, pod karą konfiskaty mienia. Surowe prawodawstwo dochodziło do absurdów. Dostatecznie było, żeby ktoś przez zemstę w podwórzu lub w ogrodzie sąsiada zakopał bażancie pióra, doniósł władzom że sąsiad poluje na bażanty i wskazał pióra, — a oskarżonego sadzano niezwłocznie do więzienia, i konfiskowano mu majątek. To też bażanty tak się rozmnożyły, że zimą szukając pożywienia przychodziły do wiosek i o świcie, jak domowe koguty spacerowały po gumnach i gospodarskich podwórkach.

Za czasów rosyjskich prawo to zostało zniesione. A że bażanta łatwo upolować bez użycia broni palnej, przy pomocy łowczych ptaków, sideł i sieci, — krajowcy z taką energją wzięli się do ich tępienia, że nim się administracja rosyjska spostrzegła i ustanowiła prawa ochronne — bażanty znikły z zaludnionej części Fergany, i utrzymały się tylko w gąszczach koryta Syrt-Darji i na południowych zboczach pasma gór Aleksandrowskich, pokrytych wspaniałemi lasami orzechów włoskich, z podszyciem najrozmaitszych krzewów jagodowych, któremi się karmiły bażancie rzesze.

Najulubieńszym schroniskiem dla bażantów były gęste zarośla „oblepichy". Nie znam łacińskiej nazwy tej rośliny. Jest to krzak długoletni, rosnący bardzo gęsto, o drobnych listkach. Wszystkie gałązki są oblepione żółtemi jagodami tak gęsto, że zdaleka przypominają kukurydzę, tylko naturalnie żadnych kaczanów krzak nie posiada: jagody siedzą prawie na gałązce, mniejsze od ziarnek kukurydzy i mają grubą pestkę i kwaskowaty miąższ w jagodach. Nalewka z jagód „oblepichy" jest bardzo aromatyczna i w Rosji wysoko ceniona.

Stare krzaki „oblepichy" kryją w swej gęstwinie jeźdźca; przedrzeć się śród nich można tylko krętemi ścieżkami, wydeptanemi przez bydło, lub dzikiego zwierza. „Oblepicha" rośnie na gruncie bardzo kamienistym, lubi wodę, tak że zwykle porasta koryta rzeczek górskich, które tylko w czasie tajania śniegów wypełniają się wodą. Polowanie w takich warunkach jest trudne, szczególniej jeżeli się nie ma dobrego psa, gdyż zabitego bażanta trudno odszukać, a raniony zawsze ujdzie. Łatwiej polować z ptakiem łowczym, bowiem przy uderzeniu w bębenek — bażanty się zrywają i podnoszą nad krzaki, a jastrząb chwyta ofiarę w powietrzu i pada z nią na otwartą polankę lub ścieżkę, gdzie sokolniczy może z łatwością odebrać zwierzynę.

W dogodnych warunkach bażanty mnożą się nadzwyczaj szybko. Będąc w Oszu naczelnikiem okręgu i chcąc mieć polowanie na bażanty w tym rejonie, sprowadziłem kilka par żywych, schwytanych w sidła bażantów i puściłem je w dolinę rzeczki Gulcza, koryto której na przestrzeni paru kilometrów gęsto porosło „oblepichą" i innemi jagodowemi krzewami. W górnej części znajdują się obszerne pola z rozłożystemi topolami. Miejscowość leży na wysokości 1550 metrów n. p. m. Lękałem się, że mrozy i śniegi przeszkodzą zaaklimatyzowaniu się tam bażantów. Leśnikowi z Gulczynki nakazałem dozór, żeby tamtejsi kirgizi nie polowali w zaroślach.

Otóż, już po trzech latach, miałem prawdziwą satysfakcję, stwierdziwszy, że bażanty bardzo się rozmnożyły. Było ich tak dużo, iż nocując w kirgizkiej jurcie, przez sztachety widziałem o świcie całe stadka w obozie naszym rozgrzebujące, jak kury, koński nawóz. Odtąd miałem tam stałe polowania na bażanty.

W czasie bytności mojej w Turkiestanie — niezliczone rzesze bażantów przebywały w zaroślach środkowej i dolnej Syrt Darji, mniej więcej od miasta Turkiestanu do ujścia Syrt-Darji do Aralskiego morza, t. j. na terenie, gdzie stale osiadłej ludności niema, a koczujący kirgizi, w zależności od stanu traw i pory roku, odkoczowują daleko od rzeki. Prócz tego w zaroślach często spotykają się tygrysy i dziki. Pierwszych kirgiz się boi, drugich się brzydzi, więc do zarośli zagląda niechętnie Woli otwarty step i polowanie na dropie (otis tarda) i strepiety (otis tetrax), o czem mówiłem już w № 7 „Przeglądu Myśliwskiego".

Generał *Bronisław Grąbczewski.*

(D. n.).

O WYŻLE I JEGO UKŁADANIU. *(D. C.).*

Do wodnego polowania właściwie psy nie potrzebują żadnej nauki. Pies, który już na lądzie polował, nie opuści pana wchodzącego do wody lub błota, szczególniej jeśli ten od czasu do czasu strzeli. Zapewne nie można wymagać, aby pies, pierwszy raz zobaczywszy wodę, odrazu w niej szukał, podczas gdy pan wygodnie spaceruje po brzegu, wejdźmy jednak parę razy z nim i dowiedźmy mu, że w wodzie również jak i na lądzie dobrze można się zabawić, a napewno po paru dniach z równą ochotą będzie szukał w trzcinie, jak i w kartoflach.

Do podanych wyżej spostrzeżeń, muszę dodać jeszcze to, że nigdy wyżłów nie powinno się brać ani za koniem, ani za bryczką. Biegnąc przy koniu

a raczej przed koniem, uczy się odbiegać od panów, robi się roztrzepany, często przychodzi mu ochota i sposobność pogonienia czegoś; bieganie zaś za bryczką, wprowadza brzydki narów biegania samopas po polach, co jest bardzo niedobrą wadą, prócz tego psy takie zwykle kończą tem, że je albo przejadą, albo czasem pójdą za cudzą bryczką i zginą. *Choćby najbliżej wypadło nam jechać, zawsze trzeba wziąć psa na bryczkę*, przy dłuższych drogach oczywiście trzeba go od czasu do czasu zsadzać, jednak za zasadę trzeba przyjąć, żeby *z podwórza nie wyszedł nigdy inaczej jak przy nodze pana*, lub razem z nim w pojeździe. Pies do tego przyzwyczajony, — nawet nie będzie się starał pobiegnąć za końmi. Nawet idąc w pole, do zajęcia, gdy się nie będzie miało czasu na baczenie w stronę psa, lepiej zrobimy zostawiając psa w domu, a unikniemy wtedy różnych narowów, które tak trudno wykorzenić. Również częstym błędem jest pozostawianie wyżła na noc swojemu przemysłowi. Od urodzenia — do śmierci wyżeł powinien być zawsze w nocy zamknięty. W większych psiarniach siedzą w siatkowych ogrodzeniach, których dla jednego psa nie opłaci się budować, w pokoju, stajni, lub zamkniętej komórce. Właściciele, pozostawiający psa na dworze na noc, ani się domyślają, widząc go wieczorem i rano, co przez całą noc ich pupil wyrabia. Niechby się kiedy w ciepłą pogodną noc pofatygowali na dwór, napróżno by go się starali zwołać. Poluje on na swoją rękę, często w nieodpowiedniem towarzystwie, uczy się gonić, niszczy młodą zwierzynę i każdej chwili jest narażony na zabicie lub zarażenie się od psów wściekłych lub parszywych.

Wybór rasy, zupełnie jak i maść wyżła zależy od okazji, lub upodobania, jednak zawsze należy uważać na czystość rasy obojga rodziców i ich zalety i użytkowość myśliwską. Ja osobiście jestem zwolennikiem krótkowłosych, gdyż łatwiej je w czystości utrzymać i przekładam pointera angielskiego nad niemieckiego, gdyż moim zdaniem, pies, którego dla wyglądu estetycznego trzeba kaleczyć (ucinanie ogona) musi w estetyce ustępować zgrabnemu anglikowi.

Dotąd miałem psy tylko krótkowłose; albo czyste angliki, albo z domieszką krwi innej rasy wyżła, przeto wszystko co dotąd napisałem, wzięte jest ze spostrzeżeń nad psami tego rodzaju.

Muszę tu również nadmienić, że błędnem jest utrzymywanie, jakoby angliki pointry nie chciały aportować. Nie wiem jak jest w ich ojczyźnie, nigdy tam nie byłem, nie miałem również w ręku młodego psa importowanego z Anglji bezpośrednio. Miałem jednak kilka psów pochodzących niezaprzeczenie od psów sprowadzonych i wszystkie one aportowały doskonale. Nie trzeba tylko do nich stosować barbarzyńskiego sposobu układania używanego nieraz przy flegmatycznych niemcach.

Henryk Rudzki.

(D. c. n.).

ŁOWY W NOCY.

Z dniem 1 października kończy się zazwyczaj czas ochrony wszelkiego zwierza łownego.

Po poddaniu gruntownym oględzinom i niezbędnem uzupełnieniu rynsztunku myśliwskiego, właściciel łowiska niekrępowany już żadnemi zakazami, pełen radości, urządza w pojedynkę lub zbiorowo pielgrzymki po polach i lasach, aby stwierdzić ostatecznie wydajność swych zabiegów.

Kto przybył na świat ze słabością do fuzyjki, a kogo św. Hubert nie obdarzył własnem łowiskiem, miota się na wszystkie strony, aby móc za wszelką cenę choć w minimalnej mierze zaspokoić swą żyłkę myśliwską. Stosunki pod tym względem tak się jakoś niefortunnie ułożyły, że właśnie tego rodzaju myśliwców jest przygniatająca większość.

Z tego to powodu, często możemy usłyszeć, czy to w kolei, tramwaju, lub w jakiejś kawiarence, wpraszanie się na polowanie do znajomego, półznajomego, nieznajomego (tego ostatniego oczywiście za wynagrodzenie, czego dowodem najwymowniejszym są liczne ogłoszenia w pismach). Trochę chytrości i blagi, a skutek nieda długo na siebie czekać.

Klasycznymi samarytanami amatorów myśliwstwa bez przydziału bywają w pierwszym rzędzie dzierżawcy terenów łowieckich rekrutujący się ze sfer mieszczańskich, którzy płacąc częstokroć sami wysoką tennutę, potrafią od tych „upośledzonych" nemrodów pobrać sumkę za odstąpienie odstrzału „kilku sztuk" według swego widzimisię, choćby stokroć wyższą.

Ale nie o to chodzi. Chodzi o to w jaki sposób takie — sit venia verbo — towarzystwo pasko-myśliwych wykonuje polowanie.

Mamy niestety w dobie obecnej mnóstwo myśliwych, którzy uznają — oczywiście na papierze — regulaminy polowań, lecz w praktyce ani im się śniło je przestrzegać.

Ponieważ nie wszystkim wzmiankowanego wyżej pokroju myśliwym obowiązki pozwalają na wykonywanie łowów w dzień, uważają za stosowne wykonywać je w tej drugiej połowie doby, wolnej od zwykłych zajęć, t. j. nocy, choć może ta okoliczność najmniej wchodzi w rachubę. Łowy w nocy uprawia się przedewszystkiem tam, gdzie rozchodzi się o zwierzynę przychodnią z obcych terenów na żerowisko.

Myśliwy wykonujący łowy na zwierzynę pożyteczną w nocy schodzi do roli kłusownika.

Z punktu widzenia racjonalnego łowiectwa łowy w nocy nie należą w żadnym razie do polecenia godnych i rezultat takich łowów nie przynosi myśliwemu pożądanego zaszczytu, świadcząc raczej o znacznem wypaczeniu woli i ignorowaniu zasad prawidłowego myśliwstwa.

Łowy w porze nocnej, uprawiane przez właścicieli łowisk, posiadają zwłaszcza to niesłychanie

ujemne dla całokształtu gospodarstwa łowieckiego znaczenie, że wykonujący je przyczynia się w głównej mierze sam do wyniszczenia zwierzostanu. Ściślej powiedziawszy, — cała gromada drapieżników i kłusowników zawodowych nie jest w stanie wyrządzić w zwierzostanie takiego spustoszenia, co taki uprawniony łowiec.

Zawodowy kłusownik najczęściej zadawala się zdobyczą jednej sztuki i zmyka, aby nie zostać przy dalszej robocie schwytany, podczas gdy łowiec z mandatem w ręku, stara się mieć na nocnym rozkładzie ilość jaknajwiększą.

Prawdziwą karykaturą łowów w porze nocnej nazwać można doły pokopane w pobliżu granic obcych terenów, szczególnie lasów państwowych, często z wielkim komfortem urządzonych.

Na największy uszczerbek z powodu urządzania nocnych polowań zasiadkowych bywa narażony zwierzostan w lasach państwowych, których zarządy staczać są zniewolone ciężką walkę z wybrykami przygodnych myśliwych. W mniejszym natomiast rozmiarze na odstrzeliwanie w nocy wystawioną jest zwierzyna w lasach prywatnych, a to z tego względu, że te ostatnie otaczają najczęściej pola dworskie, a jeżeli zaś gminne, to w większości wypadków przez właściciela lasu zadzierżawione, co z góry uniemożliwia te wysoce niekulturalne łowy.

Ileż to nieraz cennego materjału dla hodowli wskutek nocnych łowów marnie ginie w okropnych męczarniach, ileż żyć ludzkich przeniosło się przedwcześnie na tamten świat, nawinąwszy się pod lufę, że się tak wyrażę duchów — myśliwych. Precz więc z wykonywaniem łowów w porze nocnej!

Odnośne postanowienie ograniczające w pewnej mierze łowy w nocy zawiera projekt ustawy łowieckiej (§ 62 p. c) opracowany przez Polskie Towarzystwo Łowieckie. W praktyce natomiast główna rola zapobiegania swawoli różnych pseudo-myśliwych przypadła w udziale leśnikom, z których też każdy zna najlepiej sposób przeciwdziałania tego rodzaju niepożądanym zakusom.

Zdążając, choć coprawda z żółwią szybkością, do wydźwignięcia na normalne tory gospodarki kraju, żywić możemy nadzieję, że po pokonaniu różnych przeciwności, zdołamy wydobyć nasze łowiectwo z chaosu, w jaki wtrąciła je ostatnia wojna.

A. Szyba.

LIZAWKI.

Doniosłe znaczenie, jakie mają dla naszej zwierzyny, dla jeleni i saren lizawki, jest już chyba dostatecznie znane i uznane, pomimo to jednak zakładane one bywają często w najniewłaściwszy sposób po naszych lasach. Najodpowiedniejszą do podawania zwierzynie do lizania okazała się skrzyneczka drewniana umieszczona na mniej więcej 27 cali ponad ziemią unoszących się czterech palach i przybita gwoździami. Skrzyneczka powinna mieć 7½ do 8½ cala wewnętrznej szerokości, 4 cale wysokości, ażeby mogła wygodnie objąć kamień. Jeżeli pale są mocno wbite i jeżeli grubość desek u skrzyneczki wynosi około 1 cala, to takie magazyny wytrzymają nietylko wszelkie zmiany powietrza i burze, ale są również odporne na wszystkie inne wpływy. Nowe skrzynki dla niepoznaki naciera się ziemią. Jeżeli pragniemy skrzyneczki uczynić szczególniej odpornemi, to możemy także wszystkie cztery ścianki wykonać z ramy rozprutego drzewa okrągłego, do czego zwierzyna tam, gdzie lizawki stanowią jeszcze nowość, prędzej się przyzwyczaja. Dla lepszego umocnienia skrzynki na palach dobrze jest dno jej trochę ku tyłowi posunąć, ażeby nieco wystawało na zewnątrz. Na dnie znajdują się dwa wyświdrowane otwory o średnicy około 1 cala, oprócz tego zaś w każdej ściance na różnej wysokości po jednym otworze, biegnącym skośnie na zewnątrz, a to celem odprowadzenia wody. Tego rodzaju skrzynki można łatwo wykonać na miejscu, bowiem prawie całego materjału dostarczy las. Naczynia gliniane pękają łatwo podczas mrozu i mogą być przez osoby niepowołane bez trudu rozbite. Umieszczone tuż nad ziemią lizawki mają wielką wadę, że śnieg szybko je pokrywa, że bardzo chętnie depce je lis i osiada na nich kurz, co naturalnie zwierzynę turbuje i zniechęca. Opisany powyżej rodzaj skrzyni z drzewa wzniesionej przy brzegach na 27 cali od ziemi, a gdy chodzi tylko o jelenie same na 35 cali, nie bywa zasypywany śniegiem, wiatr bowiem nie dopuszcza tutaj do nagromadzenia się śniegu, gdyby zaś to jednak miało kiedykolwiek się zdarzyć, to wskutek następująca wkrótce przeciążenia wagi pozostałaby tylko bardzo drobna warstwa śnieżna. Dlatego też zwierzyna zawsze z łatwością dostać się może do masy do lizania, nie mówiąc już o tem, że umieszczone wyżej lizawki są dla niej wygodniejsze. Na wydeptanie i porycie nogami ze strony samej zwierzyny nie są takie lizawki narażone, co się stanowczo dzieje, gdy skrzynki umieścimy przy ziemi, zwłaszcza też, gdy je na nowo wypełniamy. Z tego rodzaju skrzynek lizawkowych nic nieużytego z masy nie przepada, lizawki z domieszką wapna utrzymują w zwartości swoją masę, do tego stopnia, że nawet ulewy nie mogą im w niczem zaszkodzić. Lizawki podług wzoru d-ra Neumeistera mają też tę własność znakomitą, że zarówno w lecie pozostają w stanie twardym, jak i w zimie nie marzną. Podczas karmienia w zimie składa się poprostu kamienie do żłobka z paszą, ponieważ o tej porze zwierzyna trzyma się więcej gromady i wędruje z miejsca na miejsce, trudniej więc do rozrzuconych w lesie pojedyńczo lizawek może się dostać. Jeszcze jeden rodzaj skrzynek okazał się przy odpowiednich okolicznościach dobrym, a mianowicie, gdy na pieńku o pewnej wysokości wycinamy otwór wielkości kamienia lizawkowego. Przy okazji trzebieży, albo

posuszy, przykazujemy drzewa, które mają być usunięte, ściąć piłą wyżej, ażeby pieńki miały wysokość wymienionych poprzednio pali do podtrzymywania skrzynek. W celu odprowadzenia wody potrzeba tylko zrobić kilka poprzecznych otworów świdrowanych w ścianach i kilka prostopadłych w dnie. Takie korytka przez długi szereg lat są niezniszczalne, kiedy zaś w końcu gniją i butwieją, to wówczas tak są przesiąknięte solą, że zwierzyna łakomie owe pieńki zwolna, ale zupełnie zjada. Jako najlepsze punkty do ustawiania lizawek okazały się bezsprzecznie miejsca gdzie zwierzyna nocą szuka pożywienia w lesie: kultury, halizny, łąki leśne i t. d., nigdy jednak nie gęstwiny. Zwierzyna przychodzi lizać z lubością nietylko rano, ale o każdej porze, jeśli tylko ma możność, gdziekolwiek podczas zmiany pożywienia natrafi na lizawkę. Do ustawienia lizawki odpowiednia jest każda pora roku, zawsze bowiem upłynie sporo czasu, zanim zwierzę odważy się spróbować tego środka. Zwierzyna najszybciej oswaja się z tem na wiosnę.

Michał Nowakowski.

Leśnik.

Stan zwierzyny na Polesiu przed wojną i po wojnie.

(*Dok.*).

W 1917 i 1918 roku byłem kilka razy świadkiem polowań na łosie i dziki w lasach puszczy Turowskiej i w lasach Bujnowickich w Mozyrskim powiecie, a nawet byłem dwa razy zaproszony przez chłopów na polowania, gdyż wiedzieli że dobrze strzelam w biegu do zwierzyny, co się pomiędzy nimi rzadko zdarza, ponieważ polescy kłusownicy strzelają dobrze tylko do stojącej zwierzyny. Na takie polowania zbierali się wszyscy mężczyźni i wyrostki z kilku wiosek i chutorów, lub też z jednej dużej wsi, uzbrojeni w karabiny wojskowe, zrabowane strzelby myśliwskie po dworach i u leśników, a kto nie miał broni palnej, ten uzbroił się w widły podwójne, kije lub siekiery, biorąc ze sobą psy do tropienia i osadzania zwierza. Takim polowaniem kierował zwykle jeden najstarszy i najlepszy kłusownik znający dokładnie las i miejsca pobytu zwierzyny, ustawiając chłopów uzbrojonych w broń palną nad knieją, a nagankę prowadził inny kłusownik, wysyając do kniei psy dla wytropienia zwierzyny.

Naganka gęsto obstawioną ławą ruszała na dany strzałem sygnał z wielką wrzawą i krzykiem, goniąc zwierzynę na strzelców. Odległość naganki od strzelców bywała zwykle trzy do pięciu wiorst. Naganiaczy nieraz było 60 — 80 osób. Strzelców — 20 — 40 osób. Przy takiej ilości strzelców i naganiaczy, z trudem udawało się zwierzynie przedostać zdrowo przez linję strzelców, gdzie łosie i dziki były wybijane do ostatniego, a ranne padały pastwą wilków.

Nie obyło się również nigdy takie polowanie bez nieszczęśliwego wypadku, bo zdarzało się, że jeden drugiego postrzelił, lub ranny dzik poszarpał kogoś z uczestników polowania. Na jednym z takich polowań w pobliżu wsi Pererowa nad rzeką Prypecią położonej, jeden ranny odyniec poszarpał na polowaniu w jednym dniu trzech chłopów uzbrojonych w pojedynki kapiszonówki, a inni z karabinami zamiast ich bronić i dzika dobić, porzucali broń i powłazili na drzewa. Jeden z poszarpanych amatorów polowania z rozpłatanym brzuchem umarł w lesie, gdyż wszystkie wnętrzności dzik z niego wypuścił. Drugiego zanieśli do wsi i z upływu krwi umarł w domu. Trzeci z porozrywanymi mięśniami w nogach chorował przez pół roku zanim przyszedł do zdrowia, zostawszy do śmierci kulawym. Rannego czternastoma kulami dzika dobił na drugi dzień kłusownik z Tanieża, który przypadkowo natknął się na niego.

Po takich polowaniach zabitą zwierzyną dzieliła się cała wieś, dając każdemu z uczestników polowania po kawale mięsa. Skóry z łosi kupowali żydzi w zamian za wódkę, a dziki opalali nie obdzierając skóry.

Ryś niebył rzadkim na Polesiu i w niektórych miejscowościach wyrządzał znaczne szkody wyłapując sarny, a nieraz i owce pasące się z bydłem po lasach. Przez częste polowania urządzane gromadnie przez chłopów, ryś wyniósł się w niedostępne knieje, znacznie oddalone od wiosek.

Wilków było dużo i podczas rewolucji niewiele ich zginęło, gdyż chłopi do nich nie strzelali, bo mięso z wilków nie przedstawiało dla nich żadnej wartości, a z obławy wilki wysuwały się zawsze bokami, lub też przywarowywały w trawach na błotach nie będąc zauważone przez naganiaczy. Bardzo niewielką ilość wilków wybili niemcy podczas swojej bytności na Polesiu w 1918 roku.

Spędziwszy kilka lat w lasach państwowych na Polesiu, mógłbym dużo powiedzieć o wilkach, mając z nimi nieraz sposobność zetknięcia się, ale o tem wspomnę innym razem w Przeglądzie Myśliwskim.

Sarn na Polesiu nigdy nie było zawiele i nie spotykało się ich w takich dużych stadach, jak w Poznańskiem, gdyż sarny były strasznie tępione przez wilki, rysie i kłusowników. Po rewolucji chłopi wybili resztę i tylko gdzieniegdzie można jeszcze zobaczyć sarny, które są bardzo ostrożne i nie podpuszczą do siebie człowieka nawet na paręset metrów.

Zajęcy na Polesiu jest bardzo mało, gdyż chłopi i gajowi lasów państwowych i prywatnych wybijają je przez cały rok, tropiąc je gończemi psami.

Zarządy lasów powinny stanowczo zabronić trzymać gajowym gończe psy i broń myśliwską, pozo-

stawiając im rewolwer, kij i trąbkę Na gończe psy powinien być nałożony przez rząd wysoki podatek, taki jaki był za rosyjskich rządów na charty (15 rubli w złocie), wtedy nie jednemu amatorowi polowania z gończemi odechce się je trzymać.

Na kilka lat przed wojną błota Pińskie i cały Mozyrski powiat były królestwem ptactwa wodnego, głuszców i cietrzewi. Nienapróżno rosjanie nazywali tę część Polesia kaczem królestwem, (Утинымъ царствомъ) gdyż jadąc na kaczki łódką, lub na deptanego z dobrym psem, przez dzień można było z jednej strzelby wystrzelać sto i więcej naboi. Na zlotach rannych i wieczorowych nad Prypecią w dobrze obranych miejscach, myśliwy nie mógł nieraz nadążyć nabijać fuzji, a od strzałów tak się rozgrzewały lufy, że trzeba było na pewien czas zaniechać strzelania, aby dać możność ostygnięcia lufom silnie porozgrzanym.

Obecnie głuszce trafiają się bardzo rzadko,[1]) cietrzewi też zostało niewiele, a ilość kaczek zmniejszyła się o połowę, bo co nie mogli chłopi wystrzelać, to wyłapali psami, lub też wybierali jaja na błotach i pożerali je całemi dziesiątkami, znosząc je tygodniowo nieraz po kilka kop. Będąc nieraz w objazdach służbowych, lub na polowaniu, sam często jadłem u chłopów jajecznicę z kaczych jaj uzbieranych na błotach. Bardzo często, nawet już za czasów polskich na Polesiu, przy pomocy gajowych łapałem dorosłych mężczyzn i wyrostków obładowanych i poopychanych za pazuchą i w kieszeniach kaczemi jajami. Przy złapaniu takiego szkodnika zwykle sprawiałem nad nim sąd doraźny na miejscu, okładając go po naładowanych kieszeniach i po bokach dobrym kijem, poczem puszczałem go do domu z surową jajecznicą w kieszeniach i za pazuchą, gdyż innej kary na takich szkodników nie było.

Aby ochronić od ostatecznej zagłady zwierzostan na Polesiu i powiększyć go, powinny odnośne władze przystąpić z całą energją do ochrony takowego, ograniczając wydawanie pozwoleń na broń myśliwską i na polowanie nieodpowiednim osobom.

Złapanego kłusownika z bronią lub psem, jak i wybieraczy jaj karać bardzo surowo grzywną i pozbawieniem na dłuższy czas swobody, sadzając ich do więzienia. Gajowym lasów państwowych i prywatnych stanowczo zabronić polowań i noszenia broni myśliwskiej, gdyż jak się wielokrotnie sam przekonałem, to gajowi są najgorszemi kłusownikami i mają najwięcej sprzyjające warunki do polowań na swoją rękę.

Byłoby bardzo pożądanem, aby panowie leśniczowie i podleśniczowie zwracali baczniejszą uwagę na stan zwierzyny w powierzonych im lasach, jak to ma miejsce w Wielkopolsce, a wtedy stan zwierzyny podniesie się do pożądanych rozmiarów i da im to zadowolenie, że się do tego przyczynili.

Edward Przedpełski.
Państ. leśniczy z Zacisza.

[1]) Na szczęście niektóre uwagi Sz. Autora są zbyt pesymistyczne. Łosie nie są doszczętnie wytępione. Stan ich poprawił się znacznie. Również głuszców spotykamy w leśnictwach dzierżawionych przez Poleskie Tow. Myśliwskie b. dużo. Zasługa w tem przedewszystkiem p. Lenkiewicza, łowczego powyższego Towarzystwa, którego opiece zawdzięcza Polesie odrodzenie swego zwierzostanu. (Przyp. Redakcji).

DZIK.

I.

Ćwierć wieku temu zamarły już tradycje łowieckie w Lubaradzkich dobrach. Kołatała się tylko wśród ludzi głucha fama, że przed stu laty pono, w pałacu tamtejszym, do dziś dnia znanym, jako jeden z najokazalszych dworów w okolicy, odbywały się gwarne uczty łowieckie licznych gości imci pana podkomorzego Karskiego, polujących w ogromnych Nadłydyńskich lasach na jelenie, dziki i wilki.

W połowie ubiegłego wieku zaczęto trzebić stare bory tak, że pod koniec stulecia w stowłókowych dobrach ledwie kilka włók młodego lasu i nieco zagajników zostało. Jednocześnie z padaniem pod siekierami ochronnych kniei ginęła poważniejsza zwierzyna pozostał tylko przyziemny drobiazg: zające, lisy i kuropatwy. Wprawdzie nie było wtedy już wojskich Hreczechów, którzyby za ujmę sobie poczytali polować na zające i każdy z oficjalistów radby nieraz kota lub parę kur ustrzelił, lecz niestety z dziedzicowego gabinetu wyszedł drakoński rozkaz: „polować niewolno!“, a ponieważ rozkaz ten poparty został dobrym przykładem rozkazodawcy, więc nie usiłowano go przekraczać i dlatego zapomniano w Lubaradzu o przyrodzonych tradycjach łowieckich.

Jakie były pobudki owego surowego zakazu— trudno wiedzieć. Niektórzy przypuszczali, że czysto etyczne, że młody dziedzic, jako człowiek wysokiej kultury, oxfordczyk, filozof i literat, nie godzi się z zabijaniem zwierząt. Inni, ludzie bardziej pozytywnych poglądów, sądzili inaczej: dziedzic jest człowiekiem praktycznym i zamiłowanym w rolnictwie, pragnie, aby każdy jego oficjalista myślał tylko o gospodarstwie, sam zaś nie poluje bojąc się roznamiętnienia w tym ponętnym sporcie, któremu uległ już niejeden z panków i pańską swoją fortunę „przepolował“.

Dzięki tej abstynencji łowieckiej drobna zwierzyna niewiele sobie z ludzi robiła: kuropatwy dawały się brać niemal ręką, zające podczas silnych mrozów kicały o zmroku po podwórzach gospodarczych, a lisy mimo trutek i łowienia w doły przez gajowych, składały częste wizyty w wiejskich kurnikach. Z grubszego zwierza trafiały się dość rzadko przechodnie stadka sarn lub dzików, zabłąkanych tutaj z Opinogórskich lasów.

Starzy ludzie tylko pamiętali jeszcze gromady wilków, co się pono lęgły w niedostępnych wilgotnych zaroślach na tak zwanym „Djablim Stole“, a dworski owczarz, człowiek mądry, znany w oko-

licy ze swej wiedzy medycznej i cudownych środków, którymi już niejednego chorego z ciężkiego kołtuna lub skrętu kiszek wyleczył, opowiadał ciekawym praktykantom, jakich to on używał sposobów na wilki przy modnem dawniej w gospodarstwach „hurtowaniu“ pól, gdy owce ogrodzone tylko drabinkami, przebywały całe miesiące zdala od folwarku.

Marzyła się wtedy takiemu praktykantowi wyprawa rycerska na grubego zwierza, a przejeżdżając konno około zarośli, bolał w skrytości ducha, że niema tam niedźwiedzia lub dzika, na którego gotówby skoczyć choćby z „buldogiem“ w jednej, a kordelasem w drugiej ręce. Zarośla były puste— młody człowiek wzdychał—ot głupie marzenie!

Naraz rozeszła się dziwna pogłoska wśród służby folwarcznej: na polach Lubaradzkich ukazał się ogromniasty dzik... Któryś fornal widział go żerującego w niedawno zasadzonych kartoflach.

— Pewnie wam się zdawało, musiała to być zwyczajna świnia — przeczył z ciekawem niedowierzaniem praktykant.

— To był prawdziwy dziki „kaban“, prose pana, dyć widziałem takie juchy w Rosiei jakem we wojsku służył.

Praktykant powtórzył tę niezwykłą wiadomość rządcy, panu Grzmotnickiemu, lecz rządca z miejsca go zburczał.

— Aha! zapachniała w polu swoboda, chciałoby się tak z fuzyjką pobujać?! Widzę, że zamiast orki, wywózki nawozu i doglądu opasów, kochany pan ma dziki urojone w główce...

Praktykant jak szarak uszy położył po sobie i sprawy tej z rządcą więcej nie poruszał.

Tymczasem dzika coraz częściej widywano. Któregoś dnia widziały go dziewuchy wracające od pielenia, gdy biegł przez kartofle. „Czarny był kiej djabeł, a wielgaśny niby koń, jeno golenie miał krótse“—opowiadały pisarzowi, biorąc kartki dniówkowe. Innym razem czwórka tęgich kasztanków zaprzężona do półtoraka naładowanego zieloną koniczyną wpadła galopem na dziedziniec, a fornal Kajtuś, z trudem osadziwszy przed stajnią konie, dowodził, że poniosły spłoszone pod zagajnikiem przez „dziką świnię, co w niej musi złe siedziało“. Wreszcie postrach padł wielki na chodzących samotnie w pole, gdy się wieść rozeszła, że na Jadamową w poważnym stanie będącą niewiastę, gdy niosła chłopu pod las śniadanie, wypadł z żyta jakiś okrutny „dźwirz“, tak chrząchnął i tak skoczył ku niej, że aż się kobiecisko przewaliło i dwojaki stłukło, a wróciwszy do dom z wylęknięcia na przedwczesną słabość zległo.

Takie to wiarogodne spotkania i niewiarogodne plotki zachęciły gajowego do wytropienia niesamowitego zwierza.

Rezultat nastąpił prędzej niż przypuszczano. Po paru dniach gajowy zjawił się w kancelarji dominjalnej i oficjalnie zameldował, że na Lubaradzkich gruntach przebywa ogromny odyniec i czyni spustoszenia w zbożach i kartoflach.

Dzięki tej karygodnej samowoli sprawa dzika stała się pozytywną i została, jak mówią łamiąc własny język nasi biurokraci, „przedłożona“ najwyższej instancji, to jest panu dziedzicowi, a że dziedzic Lubaradzki, nim począł studjować filozofję w Oxfordzie, wpierw skończył prawo w Warszawie i wierzył w to, że „dura lex“ jest zawsze najlepszym fundamentem ładu i szczęśliwości każdego produkcyjnego majątku, więc też natychmiast wydał następującą decyzję: „Dzik czyni szkody w tutejszem wzorowem gospodarstwie — jest więc przestępcą i jako taki winien być ukarany. Obława na niego nie będzie gentlemańskiem polowaniem dla sportu, lecz ekspedycją karną i bynajmniej nie będzie w sprzeczności z zakazem polowania, pozostającym nadal w swej mocy”.

Prawu stało się zadość i administracja była zadowolona. Należało zorganizować tylko wyprawę i hajda na dzika!

Na wodza obławy powołany został człowiek rzeczywiście najbardziej odpowiedni z całej administracji, który najwięcej prochu nietylko myśliwskiego, lecz i bojowego wąchał: weteran z ostatniego powstania, pan Romuald. Był on czas jakiś dowódcą oddziału w partji Marjana Langiewicza, prał Moskala, jak Bóg przykazał, w lasach Kieleckich i Olkuskich i dlatego zwano go słusznie „pułkownikiem“. W majątku zajmował skromne stanowisko gorzelanego, lecz i tu nie próżnował społecznie: uświadamiał lud w duchu narodowym i wychował syna Mieczysława na znanego i zasłużonego wielce pisarza ludowego. Pan Romuald zawsze wesół, dowcipny, sypał piosenkami i anegdotkami jak z rękawa, — za co okrutnie był lubiany i podziwiany, zwłaszcza przez młodzież praktykancką. Teraz, gdy został powołany na wodza wyprawy, jeszcze bardziej się rozjaśnił i poweselał, jakby mu trąbka wojskowa zagrała.

— Hejże chłopaki! Wszyscy w gorzelni, panie dzieju, po obrządku jak jeden stanąć z flintami, prochem i ołowiem. Kule będziem lać, panie dzieju, jak na Moskala — tralala!...

(d. c. n.) *Jan Szczepkowski.*

W PUSTYNI.

Po dniu skwarnym, jakby w środku lata, spłynął na ziemię zmierzch fioletowy i zastał mię daleko w głębi pustyni, leżącego na stoku piaszczystego barchanu[1]) i zwróconego twarzą na wschód, w stronę, skąd wyłoniła się właśnie z za bezbrzeżnego widnokręgu blada twarz księżyca. Uroku tej chwili nie potrafi opisać żadne pióro. Wokół panowała cisza taka, jakiej nigdzieindziej w naturze się nie spotyka, chyba na pełnem morzu w czasie „sztylu“ lub na śnieżnych szczytach gór niebotycznych.

Lecz nie trwała ona długo. Po przeminięciu mistycznej chwili przełomowej zapanowała noc,

[1]) „Barchanami“ nazywają w Azji wzgóiza piaszczyste, zarówno gołe, jak i porosłe darnią i krzakami.

i ucho zaczęło wyławiać niejasne szmery i szelesty. Rozpoczynało się życie pustyni tajemne, nieśmiałe i zwiewne, jak blade cienie księżycowe, błąkające się po barchanach. Zbudziła się uśpiona w dzień przyroda piaszczystego pustkowia i szeptać zaczęła swą wieczną baśń bez końca, znaną i drogą rozmiłowanemu w niej człowiekowi.

Z ledwo słyszalnym sypkim szelestem piasku pod zwinnemi łapkami sunie oto ogromna jaszczurka pustyniowa [1]), barwy piaskowej, o czarnych i błyszczących jak dżety oczach. Półtorametrowej długości, niby mały krokodyl, przewija się pomiędzy suchemi krzami saksaułu [2]), czyhając i dybiąc naprzemiany na szaro-brunatnego, biało nakrapianego chrząszcza, który właśnie opuścił swą dzienną kryjówkę, malutką norkę między korzeniami krzaków.

Wkoło głowy furkać zaczęły ćmy, rozległo się cykanie nietoperza, mieszkającego jak i wszystkie pustyniowe twory w norach i wylatującego na żer pod opiekuńczemi skrzydłami nocy.

Nawykłe do ciszy ucho, oparte o nagrzaną przez słońce wydmę, rozróżniało delikatny szmer łapek mysich, a oko mogło chwilami dojrzeć zgrabną malutką sylwetkę, przebiegającą pomiędzy źdźbłami twardej, suchej napozór trawy. Jakiś cień mignął w powietrzu, twarz musnął lekki powiew — to przeleciała piaskowa, jasno-nakrapiana sowa pustyniowa, roznosząc popłoch w mysich rzeszach.

Pustynia zakaspijska niepodobna jest do słynnych pustyń afrykańskich i arabskich. Tam prócz gołych wydm piaszczystych, falujących jak morze i bróżdżonych przez wichry w coraz to nowe kształty, nie dojrzysz nic, na czemby oko spocząć mogło, tu zaś czubki barchanów, płaskie i dość równe, są porosłe ostrą, kolącą trawą i pełzającemi prętami saksaułu.

Noc uczyniła się chłodna. Zawinąłem się w przyniesioną w plecaku kołdrę i niebawem wraz z powodzią miesięcznego światła spływać na mnie zaczęły senne widziadła.

Z mocnego, zdrowego snu zbudziły mię jakieś dziwne odgłosy. Tarcza księżyca chyliła się ku zachodowi, a wschodnia połowa nieba jaśniała ledwo widzialnym blaskiem jutrzenki. Rześkie powietrze przejmowało dreszczem, a nawisłe gałązki saksaułu świeciły białą rosą.

Niby delikatne dalekie gruchania z domieszką tonów świszczących i chrapliwych, łagodne gardlane dźwięki zbliżały się, płynęły gdzieś z góry, z ciemnej jeszcze kopuły nieba. To leciały z północy, z przepastnych głębin Kara-Kumu [1]) stada stepówek obrożnych [2]), kierując się ku przedgórzom Kopet-Dagu do wodopoju i na obfity żer w kwiecistych górskich łąkach. Nie rozbite jeszcze na wiosenne parki, leciały wielkie stada, jedne za drugiemi, napełniając ciszę przedświtu swemi miłemi głosikami.

Naprożno oko starało się dojrzeć sylwetki ciekawych ptaków, ciemne tło nieba kryło zazdrośnie swe tajnie przed wzrokiem człowieka, i chociaż rozwidniało się szybko, jak zwykle w strefach południowych, nie dostrzegłem nic, gdyż skrzydlate rzesze przemknęły przedtem, zanim znikły z blednącego nieba ostatnie nieśmiałe gwiazdy.

Słaby powiew od wschodu przyniósł mi zdaleka odgłos jakby tętentu koni, przyłożyłem więc ucho do skrzepniętej przez przymrozek powierzchni piasku. Ziemia dudniła głucho, jakby od uderzeń licznych kopyt. Wiedziałem już: to gdzieś na wschód, może o parę kilometrów, przebiegało stado „kułanów“, dzikich osłów azjatyckich [1]), płowych z ciemną przez grzbiet pręgą, zgrabnych i szybkonogich mieszkańców pustyni.

Obejrzałem się wkoło. Daleko na południu, na krańcu horyzontu majaczyły jakieś niewyraźne punkty, — wysokie drzewa Aschabadu. Nie leżały one jednak na tle nieba, za niemi wznosiły się, niby siny tuman, przedgórza Kopet-Dagu, uwieńczone w górze płonącemi obecnie różowo śnieżnemi szczytami.

Cudny jest ranek w pustyni w obliczu dalekich gór, nadających jej bezkresowi naturalną granicę i tchnących z oddali przeczystą wonią i świeżością.

Włodz. Korsak.

[1]) Ros. Waran, miejscowe—iczkemer, Varanus griseus.

[2]) Drzewo typowo pustyniowe, mające pień właściwy w piasku, a gałęzie, tworzące krzaki, na powierzchni, — Haloxylon ammodendron.

[1]) Kara-Kum — czarne piaski, nazwa pustyni pomiędzy Chiwą i Aschabadem.

[2]) Stepówki—ptaki z gatunku pośredniego między kurami a gołębiami.

Stepówka obrożna, Pterocles alchata Sewerzowi, mniejszy gatunek o rdzawo-brunatnej piersi, oddzielonej czarnym paskiem od białego brzucha. Nogi króciutkie, opierzone, ogon długi głęboko rozwidlony, upierzenie wogóle bardzo wzorzyste.

[1]) Kułan — Equus onager, zamieszkuje stepy i pustynie środkowej Azji i Persji, w Mongolji trafia się już inny gatunek.

Z ruchu wydawniczego.

„Ku indyjskiej rubieży“ *Włodzimierz Korsak* (z ilustracjami autora). (Nakład Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu). Piękna ta opowieść myśliwska (znana czytelnikom naszym zaledwie z kilku drukowanych przez nas fragmentów) przynosi ze sobą tchnienie gór, rzeźwy powiew trzcinowych dżungli i gorącą pieszczotę tajemniczej pustyni...

Korsak zajmuje dziś w literaturze myśliwskiej wybitne stanowisko. Ostatnie jego dzieło posiada trwałą wartość nietylko jako pamiętnik podróżniczy i opowiadanie o myśliwskich przygodach w dalekich krajach, ale przedewszystkiem jako rzecz ze wszech miar pięknie napisana i na szczerym umiłowaniu przyrody oparta.

Jakżeż cudnym jest np. opis Hindukusza!

„Wrażenie jakiego doznałem — pisze poeta-myśliwy — było tak potężne. tak niezwykłe i nadziemskie, że serce w piersiach zamarło, a w głowie zastygły wszelkie myśli.

Ponad zwałem siwych mgieł, kłębiących się podemną błyszczał w słońcu oślepiająco-biały grzbiet górski, wzniesiony tak wysoko, że zdawało się niemożliwem, aby coś ziemskiego mogło tam sięgnąć. Występując z mgły niewyraźnemi konturami jaśniał ku górze jak djamentowa ściana, zawieszona gdzieś w powietrzu, oderwana od ziemi. Niby srebrna bajka

lub sen świetlisty wabił ku sobie i ciągnął całe jestestwo ludzkie, kładąc wieczystą pieczęć na wspomnieniach, burząc utarte zwykłe pojęcia, a wznosząc nato miast i utrwalając nowe, wzniosłe światopoglądy..“

O wrażliwości artystycznej Korsaka mówi nam opis śpiewu trochaloptera, którego dźwięczne, fletowe tony przechodząc w nikły szczebiot „jakby szeptały o jakiejś tajemnicy, o czemś niewiadomem, co dziać się zwykło w górach ciemną nocą“. Z pieśni małego ptaszka „płynęło jakieś uczucie bez miary, porywające choć bezimienne, jakaś prawda nieulegająca wątpliwości, jakaś wiara niezbita w dobro i piękno, które jest i będzie wiecznie, a od którego my ludzie dobrowolnie się odwracamy“...

Piękną książkę czytamy jednym tchem z natężoną uwagą i wdzięczni jesteśmy autorowi za rozkoszne chwile, które dzięki niemu przepędzamy w skalistych grotach, śród skrzących lodowców, w pustyni złotej i na błękitnych falach azjatyckich rzek. Wdzięczni jesteśmy Korsakowi za łowieckie przeżycia, zdobne pięknemi ilustracjami, za czar jaki nas owiewa z jego wspomnień i za to, że myśl nasza na chwilę odrywa się dzięki niemu od szarej rzeczywistości, od walki powszedniej o byt i dąży radośnie podniebnym szlakiem — ku indyjskiej rubieży.

Juljan Ejsmond.

„Pies rasowy“ Nr. 1. Z radością witamy pojawienie się czasopisma poświęconego hodowli i tresurze psa.

Adres redakcji: Kraków. Zakrzówek. „Canis“.

J.

Kronika myśliwska.

Z pod Nakła.

W Potulicach pod Nakłem (Poznańskie) polowano 26.XI od południa w lesie; strzelb 8, na rozkładzie: 2 odyńce i 9 zajęcy. Oba odyńce ubił Dr. Stefan Siemiątkowski z Bydgoszczy.

Biała Podlaska.

11/XI b. r. polowało Bialskie Kółko prawidłowego polowania i ochrony zwierzyny łownej na terenach gminnych, dzierżawionych w rewirach: Białka pola, Sielczyk pola, Hola las, Kaliłów las, Woskrzenice Duże pola, strzelb 30, lekki przymrozek, stopa czarna, rezultat: 80 zajęcy i 1 cietrzew. Kuropatw i rogaczy nie strzelano. Skonstatowano ogromne polepszenie się zwierzostanu na opolowanych terenach.

18/XI b. r. urządzono dwa polowania, jedno w 12 strzelb na terenach rządowych leśnictwa Kłodzkiego, uroczyska Łomazy, pogoda fatalna, cały dzień mżył deszcz, rezultat: 1 lis i 1 zając. Teren kompletnie zniszczony przez kłusowników, którzy polują bandami po 10—12. Miejscowa straż leśna tak rządowa jak i kółka nie stała na wysokości zadania. Policja nic nie robiła w kierunku wytępienia kłusownictwa. Polowało Kółko na wyżej wymienionym terenie około 1000 morg lasu i zagajników po raz pierwszy, chociaż teren już dzierżawi drugi rok.

18/XI b. r. drugie polowanie, teren rządowy, leśnictwo Kłodzkie, uroczysko Dobrynka oraz przylegające do niego pola gminne, dzierżawione przez Kółko przy tejże fatalnej pogodzie, strzelb 10, rezultat: 19 zajęcy i 1 kuropatwa. Rogaczy nie strzelano.

25/XI b. r. Polowanie na terenach gminnych, dzierżawionych przez Kółko, rewiry: las mieszczański, pola Wólki Plebańskiej i Sidorek, lekki przymrozek, stopa czarna, strzelb 26, rezultat: 45 zajęcy. Kuropatw nie strzelano.

W imieniu Zarządu Bialskiego Kółka Prawidłowego Polowania i Ochrony Zwierzyny Łownej

Wroczyński, prezes.

Porady dotyczące broni i amunicji.

Jak długo można przechowywać proch bezdymny?

Proch bezdymny w opakowaniu hermetycznem może być przechowywany bardzo długo nawet do lat kilku, otwarty zaś niepowinien być dłużej roku trzymany.

Jak postępować z bronią przed polowaniem?

Broń przed polowaniem należy starannie obejrzeć i lufy wewnątrz z tłuszczu do sucha przetrzeć.

W razie polowania podczas deszczu broń powinna być przetarta na zewnątrz delikatnie jakimkolwiek, znajdującym się pod ręką tłuszczem najlepiej smarem do czyszczenia broni, po polowaniu zaś, wytarta do sucha z wody, przesmarowana tłuszczem i wówczas dopiero włożona do futerału.

Smarować tłuszczem należy tylko części metalowe.

H. S.

Odpowiedzi od Redakcji.

W. Pan T. Dobrowolski. (Bydgoszcz) W sprawie słusznie poruszonej, a dotyczącej sprzedawania kóz w sklepach przez cały rok, pośpieszamy zawiadomić, iż jest to bezprawie, które każdy z nas tępić powinien wzywając policję i każąc spisywać w swej obecności odpowiedni protokuł.

List w sprawie p. Jankowiaka skierujemy do Ministerstwa Rolnictwa (Wydział Łowiecki) Odpis zaś przesyłamy Polsk. Związkowi Myśliwych w Poznaniu.

W. Pan Józef Jaśkiewicz (Szypliszki, pow. Suwalski). Przewodnik myśliwski na rok 1924 ukaże się 1 stycznia ułożony przez p. Włodzimierza Korsaka.

W. P. Dr. Władysław Dworzański w Czortkowie. Wzór do opracowania statutu w najbliższym czasie wysyłamy pod adresem Sz. Pana

W. Pan Antoni Mrozek. (Urząd pocztowy, Kraków). W razie jeśli otrzymamy zapotrzebowanie — zawiadomimy niezwłocznie. Radzimy zwrócić się do Dep. Leśnictwa Min. Rolnictwa (ul. Senatorska w Warszawie) z podaniem i wykazem kwalifikacji.

W. Pan Michał Nowakowski. Rękopis odsyłamy natychmiast po umieszczeniu artykułów łowieckich Sz. Pana. Jeden z nich został wydrukowany w № 22 (przeszłym), drugi zaś idzie w obecnym numerze.

Tabela poglądowa na wynik konkursu wyżłów dowodnych, odbytego w Starym Tomyślu, dnia 15 września 1923.

0 = niedostatecz. 1 = dostatecznie 2 = dość dobrze 3 = dobrze 4 = bardzo dobrze Uwaga: Liczbę wyrokową otrzymuje się mnożąc cenzurę z wartością działu.	Wartość działu	1 RAUL	Liczba wyrok.	2 HEJKO	Liczba wyrok.	3 NIKSA	Liczba wyroku	4 HELLI	Liczba wyrok.	5 INGO	Liczba wyrok.	6 RINO	Liczba wyrok.	9 IWAN	Liczba wyrok.	7 HEKTOR	8 TELL
I. Praca leśna.																C O F N I Ę T Y.	C O F N I Ę T Y.
1. Za farbą na otoku . . .	4	dobrze	12	dostatecznie	4	b. dobrze	16	dostatecz.	4	dobrze	12	dość dobrze	8	dostatecz.	4		
„ „ luzem . . .	5	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—		
„ „ z oszczekiwaniem .	6	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—		
2. Aport. zgubionego drapieżnika .	5	niedostat.	0	prawie b. dobrze	18	dość dobrze	10	prawie dość dobrze	7	b. dobrze	20	niedostat.	0	dość dobrze	10		
„ „ zwierzyny użyt.	4	pr. dobrze	10	niedostat.	0	dobrze	12	dobrze	12	„	16	b. dobrze	16	b. dobrze	16		
3. Wyparowanie	4	„	10	dobrze	12	„	12	prawie dość dobrze	6	dobrze	12	dostatecz.	4	dość dobrze	8		
4. Zachowanie się na stanowisku	2	dostatecz.	2	dość dodrze	4	b. dobrze	8	dostatecz.	2	b. dobrze	8	b. dobrze	8	niedostat.	0		
5. Warowanie na strzał . .	2	dobrze	6	b. dobrze	8	„	8	dość dobrze	4	dobrze	6	dobrze	6	„	0		
6. Zachowanie się na otoku . .	1	„	3	dobrze	3	dobrze	3	dobrze	3	„	3	„	3	dobrze	3		
7. Buszowanie	2	„	6	„	6	b. dobrze	8	„	6	dość dobrze	4	„	6	dość dobrze	4		
		S U M A:	49		55		77		44		81		51		45		
II. Praca wodna.																	
1. Bobrowanie za kaczkami . .	3	dość dobrze	6	b. dobrze	12	dobrze	9	dobrze	9	dobrze	9	dobrze	9	dość dobrze	6		
2. Aport. z głębokiej wody .	3	dobrze	9	dobrze	9	b. dobrze	12	„	9	b. dobrze	12	„	9	dobrze	9		
		S U M A:	15		21		21		18		21		18		15		
III. Ciętość.																	
1. Dławienie	6	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—		
2. Osadzanie	1	dostatecznie	1	dość dobrze	2	dobrze	3	dobrze	3	dość dobrze	2	dość dobrze	2	dostatecz.	1		
		S U M A:	1		2		3		3		2		2		1		
IV. Praca polna.																	
1. Wiatr	5	dość dobrze	10	dobrze	15	dobrze	15	b. dobrze	20	dobrze	15	dobrze	15	dobrze	15		
2. Sposób szukania . . .	4	dostatecznie	4	„	12	„	12	„	16	„	12	„	12	dość dobrze	8		
3. Wystawianie	4	dobrze	12	„	12	b. dobrze	16	„	16	„	12	„	12	nie było sp.	—		
4. Dociąganie	3	dość dobrze	6	„	9	„	12	„	12	„	9	„	9	nie było sp.	—		
5. Karność	2	dobrze	6	„	6	„	8	dobrze	6	„	6	dość dobrze	4	dobrze	6		
6. Wytrzymanie na strzał . .	2	dość dobrze	4	dość dobrze	4	„	8	„	6	dość dobrze	4	dostatecz.	2	niedostat.	0		
7. Respektowanie zajęcy . .	2	nie było sp.	—	nie było sp.	—	nie było sp	—	dość dobrze	4	dobrze	6	niedostat.	0	nie było sp.	—		
8. Zachowanie przed zrywającą się zwierzyną lotną . .	2	dość dobrze	4	dobrze	6	b. dobrze	8	b. dobrze	8	nie było sp.	—	dobrze	6	niedostat.	0		
9. Aportowanie zguby . . .	3	dobrze	9	„	9	„	12	dobrze	9	b. dobrze	12	„	9	dobrze	9		
		S U M A:	55		73		91		97		76		69		38		
Ogólna suma punktów			120		151		192		162		180		140		99		

ks. Niedbał.

R. STRABURZYŃSKI i S-KA

Warszawa, Marszałkowska 146. Telefon 134-67.

Skład Broni, Amunicji i Przyborów Myśliwskich.

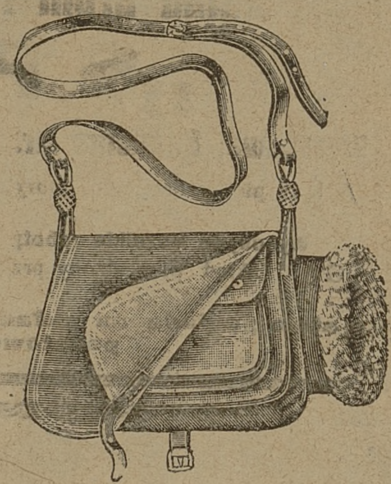
REPARACJA, ZAMIANA i KOMIS.

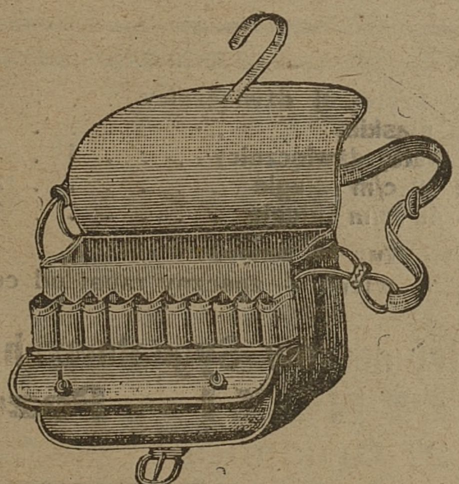
Warsztaty reparacyjne na miejscu pod kierunkiem wykwalifikowanego puszkarza.

J. CICHOCKI

WARSZAWA

Żelazna 78, tel. 113-95.





Specyalna Pracownia Przyborów skórzano-myśliwskich.

Firma egzystuje od 1900 roku.

Nakładem „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego" Ukaże się w dniu 1 stycznia 1924 r.

Przewodnik Myśliwski

ułożony przez WŁODZIMIERZA KORSAKA pt. „VENATOR"

zawierający wszystkie potrzebne wiadomości dotyczące polowań, zwierzyny, broni i psów. Prosimy o zgłaszanie zamówień do Adm. naszej: Warszawa, Szpitalna 12.

S. HISZPAŃSKI, Szewc

w Warszawie, Krakowskie-Przedm. 7, tel. 48-04.

Istnieje od 1838 r.

SPECJALNOŚĆ: Obuwie myśliwskie.

NA WYCHODNEGO Buty brezentowe, watowane

1.500 tysięcy para.

Polska. Składnica Włókiennicza

w dawnym lokalu Jeneralnej Intendentury Społecznej

Warszawa, Poznańska 11. Tel. 227-11.



WIELKI KONKURS MYŚLIWSKI.

Dla pobudzenia twórczości literackiej wśród ogółu myśliwych, redakcia „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego“ ogłosiła Konkurs Myśliwski na opracowanie jednego z trzech powyższych tematów:

1) monografja jednego z polskich zwierząt lub ptaków łownych (praca naukowo-myśliwska);
2) wspomnienie z osobistych przeżyć myśliwskich (praca literacko-myśliwska);
3) studium o psie myśliwskim (na temat: Hodowla i próby wyżłów w Polsce).

Prace przeznaczone na Konkurs należy przesłać listem poleconym do redakcji „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego“ Szpitalna 12, z zaznaczeniem na kopercie: Praca na Konkurs Myśliwski“. Wewnątrz koperty z pracą podpisaną godłem, powinna mieścić się zapieczętowana koperta, opatrzona godłem, zawierająca nazwisko autora.

Rozmiar pracy — dowolny. Nagrody trzy — za najlepszą pracę w każdym z trzech działów, Pierwsza nagroda imienia ś. p. Ścibor-Rylskiego Nagrody w postaci wartościowych dzieł myśliwskich.

Ostateczny termin nadsyłania prac: 1 styczeń 1924 roku.

W skład jury prócz Komitetu Redakcyjnego wchodzą: Jan Grabowski — inspektor stadnin państwowych, p. Stefan Krzywoszewski — redaktor „Świata“.

Redakcja zastrzega sobie prawo druku wszystkich nadesłanych prac za autorskiem honorarjum.

Redaktor Naczelny: Juljan Ejsmond. **Komitet Redakcyjny:** Gen. Bronisław Grąbczewski, Józef Błeszyński, Wł. Janta Połczyński i Włodzimierz Korsak.

Redaktor przyjmuje od godziny 6 — 7 wieczorem w poniedziałki.

Redakcja: Szpitalna 12. **Administracja: Szpitalna 12. Warszawa.**

Numer pojed.—**100.000** mk. Prenumerata mies. (z odsył. do domu) — **200.000** mk.; Konto czekowe w P. K. O. № 7595.

Cena ogłoszeń: strona—**20.000.000** mk.; 1/2 str.—**10.000.000** mk.; 1/4 str. **5.000.000** mk.; 1/8 str.—**3,000.000** mk. 1/16 **2.000.000** mk.

Administracja, Szpitalna № 12. Zakłady Drukarskie „Prasa", Tamka № 46